

ZDZISŁAW KOZIOŁ

CNOTA I FORTUNA DYSTRYBUTORÓW

Znakomity, wspaniały, jedyny w swoim rodzaju... Uwierzyłem, a raczej chciałem się przekonać, czy reklama prawdę mówi. Wykupiłem bilet, i wraz z kilkunastoma łatwo wiernymi kinomanami siedziałem prawie w pustej sali, oglądając blade, bezgłose gagi. Była to komedia produkcji francuskiej. Przed kompletną plajtą nie uratowały jej ani wieloprzymiotnikowe napisy na afiszu, ani jaskrawe transparenty głoszące sławę tego filmu.

Kolejnym filmem na ekranie tego kina była również komedia. Z obstrukcyjnej, umieszczanej w pobliżu skrzyżowania głównych ulic, tablicy dowiedziałem się, że jest to nowy film polski. Anonse w prasie codziennej były o nim również powściągliwe. Mimo pięknej, słonecznej pogody z trudem zdobyłem bilet... Film wywołał kontrowersyjne oceny, ale w zasadzie podobał się wszystkim, nawet wybrednym krytykom, którzy zwykli rodzimą twórczość filmową traktować szczególnie ostro.

Reklama nie tylko tych dwóch filmów pozwala snuć rozważania na temat: co wiedzą dystrybutorzy o upodobaniach widza. Widz — istota dotąd raczej nieznaną — wybierając filmy, kieruje się wieloma kryteriami: temat, aktorzy, reżyser, producent, przy czym kinematografia poszczególnych krajów wydaje się mieć ustaloną już renomę. Niektórzy twierdzą nawet, że miejsce produkcji filmu jest wystarczającym miernikiem jego wartości.

Te stereotypowe oceny są w pewnym stopniu reliktami epoki schmatów. Uwzględnić należy i to, że sieć kin była wówczas o wiele mniejsza, a z filmem mógł konkurować tylko ligowy mecz piłki nożnej. Telewizja pozostawała przecież w sferze marzeń. Widz zastanawiał się wtedy nie nad wyborem filmu, lecz sposobem zdobycia biletu do kina.

Obecnie mamy znacznie większe możliwości selekcji. Coraz więcej widzów ogląda tylko filmy wybrane. Najwybredniejszymi zaś odbiorcami są posiadacze telewizorów. Możliwość wyboru uzależniona jest nie tylko od sieci kin w danej miejscowości, ale także od polityki repertuarowej.

Czy powodzenie filmu jest rzeczywistym czynnikiem, który przesądza jego wartość w oczach widza? Statystyka kinowa nie pozwala wyczerpująco odpowiedzieć na to pytanie, niemniej dostarcza bardzo interesujących danych.

W 1961 roku filmy krajów demokracji ludowej obejrzało w woj. rzeszowskim 4.203.089 widzów, w rok później niespełna 4 mln, a w ubr. jeszcze mniej, gdyż 3.968.811. A więc tendencja spadkowa. Tylko w 1962 roku filmy polskie straciły blisko 10 proc. widzów, radzieckie zaś — niespełna 6 proc. W tychże latach filmy krajów zachodnich obejrzało znacznie mniej ludzi, lecz frekwencja wykazywała tendencję rosnącą. Interesujące są wyniki I połowy 1964 roku. Frekwencja na filmach krajów zachodnich przekroczyła 2 mln widzów, była o blisko 255 tys. większa aniżeli na filmach krajów demokracji ludowej. By jednak wyciągnąć wnioski o upodobaniach widza w Rzeszowskim, uwzględnić należy fakt, iż frekwencja na filmach krajów demokracji ludowej w I półroczu (w porównaniu z analogicznym okresem 1963 r.) wzrosła o 24 proc., natomiast na filmach zachodnich o 4 proc.

Bilans całoroczny prawdopodobnie nie zmieni tych proporcji, gdyż dużym powodzeniem cieszy się przegląd filmów polskich, zorganizowany z okazji 20-lecia. Ukazał on w całej rozciągłości dorobek naszej kinematografii, przekonał widza do polskiego filmu. Nie mniejszy jest także pion dni filmu radzieckiego; szczególnie sukcesy odniósł „Hamlet”, „Biały kiel” oraz „Żywi i martwi”. Filmy radzieckie obejrzało wówczas ponad 400 tys. widzów.

Przegląd filmów z okazji jubileuszowego Święta Odrodzenia przywrócił naszej kinematografii prawa obywatelskie w opinii publicznej, przewyższył swego rodzaju dyskryminację filmu polskiego w wielu środowiskach. Okazało się, że nie są one tak zle, jak to zwykło się pisać z okazji premier. W tymże okresie ukazało się sporo artykułów syntetycznie omawiających polską twórczość filmową: artykuły rzeczowe, ukazujące jej pasywa i aktywa. To też nie pozostało bez wpływu na ukształtowanie opinii odbiorców, którzy m. in. dowiedzieli się, że sporo filmów polskich cieszy się popularnością poza granicami kraju.

O zasięgu oddziaływania filmów polskich świadczy ilość widzów przez nie zdobyta. Do dnia 30 września 1963 r. 55 filmów polskich obejrzało ponad 2 mln widzów. Na czele tej tabeli są oczywiście „Krzyżacy” — blisko 14 mln widzów. „Za kazane piosenki” — 13.386 tys., „Skarb” — 8.433 tys. Kolejne miejsca zajmują: „Ostatni etap”, „Ulica

graniczna”, „Czardzi Zleb”. Największą popularnością cieszą się filmy Aleksandra Forda; jego dzieła obejrzało przeciętnie po 7.245 tys. widzów oraz Leonarda Buczkowskiego — po 6.260 tys. widzów. W sumie cztery filmy Forda obejrzało blisko 29 mln osób, a 6 filmów Buczkowskiego — ponad 37,5 mln osób.

Jednak tym razem nie chodzi o blaski i cienie polskiej kinematografii. Liczba sprzedanych biletów jest wynikiem nie tylko upodobań widza, lecz także polityki repertuarowej. By obraz był pełny, przytoczona już statystyka kinowa należy uzupełnić informacją o wpływach kasowych. Eksploatacja filmów krajów demokracji ludowej w I półroczu 1964 r. przyniosła w Rzeszowskim niespełna 8.200 tys. złotych, zachodnich zaś ponad 14.200 tys. złotych. W repertuarze filmów zachodnich przeważają obrazy rozrywkowe, grane w kinach wyższej kategorii, co przynosi znacznie większe wpływy.

Nie wiem czy względy komercyjne były czynnikiem przesadzającym politykę repertuarową. Najprawdopodobniej „kasowe” filmy zachodnie miały przewyższyć swego rodzaju kryzys popularności kin, który swoje dno osiągnął w ubiegłym roku (Pisałem o tym szerzej w artykule „Zmierzch koników”). Dystrybutorzy oficjalnie twierdzą, że rozpowszechniając filmy, mają na względzie przede wszystkim cele wychowawcze, ideowe itp., w zależności od tego komu składają sprawozdania. Przypominają oni jednak często przysłowiową starą pannę, która to chciała fortunę zbić i cnotę zachować. Co zaś pewni dystrybutorzy sądzą o upodobaniach widza, świadczy chociażby reklama, o której wspominałem na wstępie.

Dystrybutorzy wykazują niekiedy brak zaufania do widza; zamiast

(Ciąg dalszy na str. 2)



WOJCIECH KAWIŃSKI

Postać człowieka różnoimienna

— Jesteś — który byłeś. W każdym czasie jednaki.
Z dłońią ogarniającą przestrzeń dookoła.
Otwierający dym i drogę do ciemnej Itali,
Gdzie mur się piętrzył i z pięścią stawał w

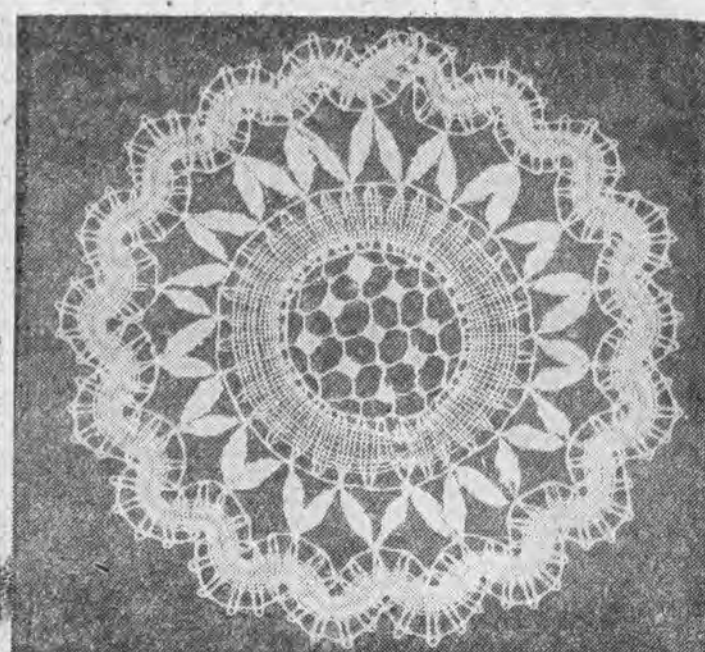
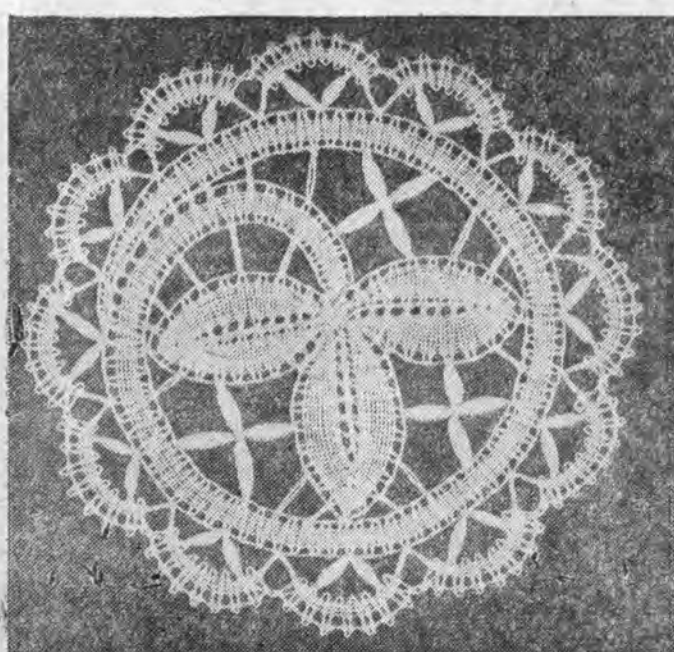
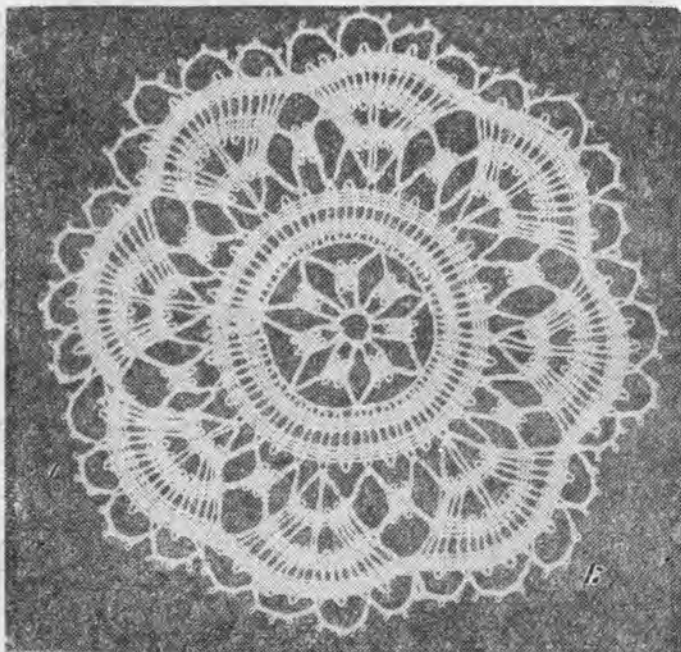
poczynał umierać... Lecz to dawno temu...
Teraz drzewo wyrosło w bliznach ostrych ciał,
A ptak wysoko błyszczy. Ale strzela z ziemi
jego nie sięgnie... Ty żyjąc skonałeś

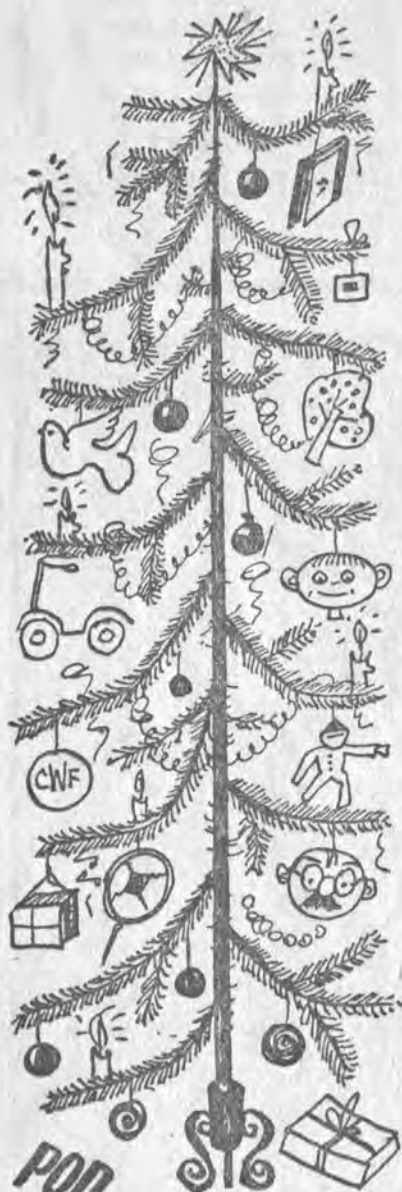
w pieśni zwycięskiej. Słupy pastuch
uczynił ci bohaterem. (Wierny choć okrutny).
Los zgłotował tamtych jak zdobywcę miasta...
W strzałach życie pękało i niósł się dźwięk lutni

do stóp kobiety i młodzieńca. Potem
witać cię przyszli wszyscy. Cała ziemia
twoja... Przez morza ciągle płynie okręt
— w czasie — który odchodzi, mija i przemienia...

Rzeszowska sztuka ludowa

Fot. A. HADALA





POD NOWOROCZNYM DRZEWKIEM

Tradycyjnym zwyczajem, wraz z życzeniami Dosiego Roka, przygotowaliśmy dla instytucji i placówek kulturalnych oraz oświatowych moc upominków, które rozdzielamy zgodnie ze staropolskim porzekadłem: *Czym chałta bogata...*

BY Muzy nie opuszczały rzeszowskiego Olimp! Niech skutecznie patrolują inicjatywom, które przyniosą Rzeszowszczyźnie należne jej miejsce na mapie kulturalnej Polski! Niech w pełni rozwina się Spotkania Teatralne, i Dni Muzyki Kameralnej, a zespoły amatorskie nadal zdobywają laury na scenach krajowych i za granicą.

BIBLIOTEKOM — lokalni od powiadających ich randze społecznej, a księgozbiorem wszystkich nowalijek wydawniczych. Wówczas tłumy starych czytelników — znajdują się same!

Dla Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie prezent specjalny: piękny własny gmach, którego projekt „smęży” się zbyt długo... bo „gdzie kucharek sześć” tam wiadomo!

CO SLYCHAĆ W NASZYM MUZEUM, panie dzieju?

— A no, jak na Zachodzie u Remarque'a — bez zmian! Liczne wystawy, wystawki, ekspozycje... Wszystkie ciekawe, kształtujące, aktualne, ale stałe ekspozycji jak nie było tak nie ma, poza świetnie zapowiadającymi się załączkami, m. in. w postaci wnętrza rzeszowskiej chałty.

CHAŁTURA — złoty cieciec przynoszący krocie producentom tzw. „kultury dla mas”. Ma on jeszcze tę właściwość, że chroni ich przed gromami nabitych w butelkę. Rozpisujemy więc błyskawiczny konkurs na znalezienie skutecznego środka, który pomoże odczarować rzucane przez niego „uroki”.

CZWÓRPOROZUMIENIE — efektywna współpraca i wymiana kulturalna województw Polski wschodniej. Jednym z jej owoców jest wystawa sztuki ludowej tych rejonów, eksponowana obecnie w Muzeum Okręgowym. Dalszych sukcesów, nowych inicjatyw!

Kiedy byłem tu ostatni raz do płuc wdierało się gorące powietrze bieszczadzkiego lata, a nozdrza chwilały tysiące leśnych i łąkowych zapachów. Z Rzepedzi gnaliśmy wówczas miniaturową drezyną do Smolnika zachwyceni urokiem mijanych zakątków. Ze zdumieniem oglądały nas brodzące w wodzie czarne bociany, a lis ledwo raczył zejść z toru, którym się właśnie przechadzał. Kolejka była dopiero w budowie, toteż pojawienie się drezyny wzbudzało wśród naturalnych mieszkańców lasów i łąk zrozumiałe zaciekawienie.

Kiedy po wizycie u młodych zetemesowców budujących tory za Mikowem wróciliśmy do Rzepedzi i oczekiwaliśmy na przygodną ciężarówkę do Zagórza, oprowadzający nas inżynier Rusicki z PRK zataczył nagle ręką łuk w powietrzu i powiedział:

— O tutaj, panowie powstanie największy kombinat drzewny w Bieszczadach.

— Na tej trawie?

— Tak. Właśnie kolejka, którą budujemy będzie dostarczać mu surowca.

Spoglądaliśmy na zieloną przestrzeń porośłą tu i ówdzie krzewami, i nie bardzo wyobrażaliśmy sobie ów obiekt.

Mineło pięć z górą lat i oto znów stoje w tym samym miejscu. Kombinaty drzewny jest już rzeczywistością. Tam, gdzie rozciągała się owa łąka huczą maszyny, pracują setki ludzi. Bieszczadzki skarb — drzewo obrabiane tutaj, idzie w głąb kraju, a nawet w daleki świat. Niedaleko kombinatu — osiedle. Domy dla rodzin pracowników, hotel robotniczy, restauracja, kino, sklepy. Na ladzie widzę debickie konserwy, rarytas i rzadkość w innych miastach.

— Panie, to dopiero dziś przywieźli. A masło tylko raz na tydzień, i ile?

Skąd ja to znam? Ten ton! Ależ tak! Wtedy, przed pięciu laty tak samo nacierali na nas budowniczo-kolejki. Tylko oni domagali się zwykłego powszedniego chleba. Transport szwankował i zdarzało się, że po 3 dni brakowało pieczywa nie mówiąc o innych produk-

DZIAŁALNOŚĆ rozrywkowa w rzeszowskich zakładach gastronomicznych: „Orany”; w „Pstryczku” szafa już gra! Miła wiadomość z ostatniej chwili: szafa się popsuła.

ESTRADZIE — więcej szczęścia do gościnnych zespołów. Względny blask „Niebiesko-Czarnych”, niech nie przysłania prawdziwie artystycznego splendoru uroczych „Czarnych beretów”. Tytuł ostatniego programu estradowego roku 1984 „Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej...” niech znajdzie pokrycie w efektach pracy rzeszowskiej „Estrady”. A „Porfironowi” złotego „Kormorana” 1985!

FILM — Centrala Wynajmu Filmów, „Filmos”. Wojewódzki Zarząd Kin. Instytucjom tym położyliśmy pod drzewkiem noworoczną kasę, w której jest film z rozszyfrowaną wreszcie receptą na zlikwidowanie sprzeczności między polityką repertuarową a finansową. Uwaga! Wyświetlić tylko publicznie!

GOLEBIE rzeszowskie to takie ptaszki, które nie sieją, nie orzą, lecz tylko tuczą się ziarnem hojnie rzucanym przez ludzi dobrej woli. Po Rzeszowie krąży też inne ptaszki, które również nie sieją, nie orzą, ale wygodnie i beztrudno żyją, wykorzystując naiwność dobrych ludzi. Pierwsze zdoła Zamek, drugie zaś omijają go jak tylko mogą. Na wszelki wypadek „ziółta” klatkę pod choinkę zastawiliśmy dla nich otwartą.

HULAJNOGA — niezbyt szybki środek lokomocji, ale w obecnych warunkach może jeszcze oddać nieocenione usługi instruktorom, chętnym do ożywiania pracy kulturalno-oświatowej w kramikach zwanych powszechnie klubami. Posiadanie prawa jazdy na ten pojazd nie obowiązuje, wystarczy społeczna chęć działania.

INWESTYCJE KULTURALNE — błędne koło, po którego orbicie krąży pięćdziesiątka rzucająca i odbijana przez inwestorów budowlanych i projektantów. Dziadek Mróz pod choinkę przyniósł dla zainteresowanych piękną wagę aptekarską, która — jak twierdzi — zdobył w NIK-u.

(Ciąg dalszy na str. 3)

Osada w górach

tach. I myślę: to źle, że masło w Rzepedzi pojawia się rzadko — choć osiedle nie jest pod tym względem wyjątkiem, trudności te odczuwamy wszyscy — ale dobrze, że nikt nie mówi o chlebie czy soli, że sklepy tuż obok są zaopatrzone tak jak w wielu innych osiedlach i miastach. Problemy żołądkowe w ogóle wysuwają się tu w rozmowach na plan pierwszy. A więc, że w restauracji po godzinie 16 już nie zjeść nie można, że w hotelu turystycznym stoi nieczynna kompletnie kuchnia i stołówka, bo władze sanockie i wojewódzkie nie raczą udzielić zezwolenia na jej uruchomienie itp. itp.

Ala nie problemy handlu i gastronomii przywiodły mnie tutaj. Chodzi o głód innego rodzaju — głód rozrywki umysłowej, głód życia kulturalnego w nowo powstałym osiedlu.

Indagowany o to kierownik Wydziału Kultury PRN w Sanoku nie mógł mi na ten temat niczego powiedzieć i to nie tyle ze względu na brak czasu spowodowany przygotowaniami do obchodu Dnia Nauczyciela, ale po prostu dlatego, że zbyt wiele na ten temat o Rzepedzi powiedzieć się nie da.

Mówią więc mieszkańcy Osiedla. — Nie ma telewizji (kierownik Surman wyjaśnił, że Rzepedź leży w tzw. cieniu, czyli że okoliczne wzgórza uniemożliwiają odbiór transmisji TV. Za kilka miesięcy stanie tu urządzenie wzmacniające, które zmieni tę sytuację na lepsze).

— Nie ma zespołu teatralnego (a był).

— Nie ma chóru (był także).

— Nie ma klubu, świetlicy itp.

— Cóż zatem jest?

Jest kino wyświetlające filmy dwa razy w tygodniu. Przez pozostałe dni sala stoi nie wykorzystana. Kiedyś próbowano urządzić tu odczyty. Miały nawet dużą frekwencję, ale od wielu miesięcy nikt nie kwapi się organizować dalszych.

I jest biblioteka. Jedną z najdziwniejszych, jakie wydarzyło mi się spotkać. Cechą tej biblioteki podległej Powiatowej Bibliotece w Sanoku jest mianowicie to, że odpowiedni „wskaźnik czytelnictwa” (procent czytelników w stosunku do liczby mieszkańców) wynosi przeciętnie od 16 do 18 procent tutaj jest wzrost bajkowy — ponad 100 procent!

Pomny doświadczeń statystycznych księgarzy, którzy wyliczyli, że najbardziej odczytanym i żądnym książki jest w naszym województwie miasto i powiat leśki, nie wyrziliem zachwytu dla tej liczby, ale zapytałem podejrzliwie, skąd się wzięła. Kierowniczka biblioteki Władysława Krzemińska — raczej zakłopotana niż dumna z takiego „osiągnięcia” — wyjaśniła.

— Ten cud statystyczny wziął się z tego, że biblioteka nasza, będąc placówką osiedlową, a więc podległą Radzie Narodowej, w rzeczywistości pełni funkcję biblioteki zakładowej. Czytelnikami są więc zarówno mieszkańcy Rzepedzi, jak i robotnicy kombinatu, dojeżdżający tu z pobliskich wiosek. Gdybyśmy zatem obliczali nasz wskaźnik na podstawie liczby mieszkańców osiedla i całej załogi zakładów — wtedy byłby on znacz-

nie niższy, choć w stosunku do innych placówek nie najgorszy.

— A ilu jest czytelników z zakładu?

— Dziewięćdziesięciu dwóch w stosunku do ogólnej liczby — 240. Byłoby jeszcze więcej, gdybyśmy mogli zwiększyć i urozmaicić księgozbiór, który uzupełniany jest nowościami wydawniczymi dość powoli.

— A czy literatury technicznej jest dość?

— Raczej nie. Potrzebne książki sprowadzam z Sanoka, ale nie czynię tego chętnie, gdyż jest z nimi sporo kłopotu. Niektórzy czytelnicy „zaczynają” je aż do strzępów i wstyd to później zwracać, inni zaś nie oddają książek w ogóle, szczególnie, że nie osiągnąwszy ich w księgarniach mogą „nabyć” je w bibliotece. Mówię o wypadkach drastycznych, które, niestety, zdarzają się jeszcze. Obecnie zresztą amatorów na książki techniczne nie jest wielu — kilka studiujących osób. Co innego latem — gdy są stażyści, praktykanci itp., którzy szukają potrzebnej im literatury. Zresztą drugą cechą szczególną naszej biblioteki jest to, że szczyt czytelnictwa nie występuje u nas — jak gdzie indziej — zimą, ale właśnie latem. Na jesieni notujemy natomiast spadek czytelników, wyrównywany tylko zwiększoną częstotliwością wypożyczeń.

Na tym nie kończą się rzepedzkie osobliwości. Każdy kto zwiedził kilka bodaj terenowych bibliotek wie, że gnieźdzą się one najczęściej w maleńkich kłitkach, ba, nie tylko — na tej malutkiej przestrzeni prócz wypożyczalni działa często czytelnia, wyświetla się dzieciom bajeczki, prowadzi wieczory czytania i dyskusje nad książką. W Rzepedzi inaczej.

Po pierwsze dlatego, że Biblioteka Powiatowa w Sanoku nie przekazała podległej placówce żadnego dodatkowego sprzętu, a po drugie dlatego, że zakład, który mógłby

takowy zakupić nie czyni tego, gdyż „biblioteka nie jego”. Ba, dodać trzeba, że do biblioteki przylega obszerne pomieszczenie, wykorzystywane przez dyrekcję na mniejsze zebrania i konferencje, wieczorami jednak puste. Można więc tu zrobić wszystko — kawiarnię, czytelnia, świetlicę, salę baletu, projekcji i Bóg wie co jeszcze. Niestety, z wyżej podanych przyczyn nie dzieje się tutaj nic.

— Cóż więc robi jesienią i zimą to nowo ukształtowane rzepedzkie zbiorowisko ludzkie?

— A co panie, po pracy to do domu, dzieci pobawić i spać. Dzień krótki.

— A co tu jest do roboty? Zbiera się chłopaków i ciupiemy w obrazki.

— Do Komańczy niedaleko, no nie? U nas wódki nie ma, tylko piwo — zakaz, wie pan. Ale popatrzy się pan, co się „kierniętych” kręci. Przywozi się metra, przegrzyza to piwem i czas leci, no nie?

Tak to wygląda w pierwszym zetknięciu i późniejsze dociekania niewiele zmieniają. Ten i ów robi systematyczne wypadki do Sanoka, ci znów zbierają się w zamkniętym, własnym gronie. Słowem — pusto, nudno.

Uniwersytet Powszechny? Szkoła Zdrowia? Kursy dla kobiet? Nie, o tym nikt nie myślał, tak jak nikt nie myśli o reaktywowaniu chóru, zespołu teatralnego czy stworzeniu innych. Trzyma się tylko orkiestra, ale i to raczej dzięki okolicznym weselom. Nie ma chętnych? Jeśli kiedyś byli, to i dziś się znajdują. Ale brakuje pobudzenia, kogoś, kto by zaczął, spróbował, zachęcił, poprowadził, bo przecież warunki są i to takie, o których niejedna osada tylko marzyć może.

Może by więc rada zakładowa pomyślała o tym? Może dogadała by się z Wydziałem Kultury i Biblioteką? A może jakąś wyższą instancją, np. Zarząd Okręgu odpowiedzialnego związku zawodowego spróbowałby przywrócić się bliżej problemom rzepedzkiego środowiska, pomóc w pełnym wykorzystaniu tamtejszych możliwości. Oto pytania, na które odpowiedź interesuje nie tylko niżej podpisanego.

WITOLD SZYMCIK

Cnota i fortuna dystrybutorów

(Ciąg dalszy ze str. 1)

rzeczowej informacji ułatwiającej wybór — natrętna reklama niezastąpienie gloryfikująca jedne filmy kosztem pozostałych, a nierzadko właśnie polskich. Nie dysponuję pełnym bilansem 1984 roku, ale fragmentaryczne obserwacje upoważniają mnie do twierdzenia, że w wielu miejscowościach nie rozrywkowe filmy „made in zagranica” lecz przegląd filmów polskich wpły na podniesienie frekwencji w kinach. Brak zaufania do widza czy też troska o jego kieszeń spowodowała, iż Naczelny Zarząd Kinematografii polecił na okres dni filmu radzieckiego obniżyć ceny biletów? Czyżby autorzy zarządzenia zapomnieli, na co zresztą zwrócili im uwagę dyrektorzy terenowych zarządów kin, że przegląd filmów radzieckich jest imprezą od dawna uznaną przez widzów, nie wymagającą szczególnych zabiegów poza rzeczową informacją? Biletem wizytowym radzieckiej kinematografii był chociażby „Hamlet”.

Warto jeszcze poświęcić kilka uwag metodom organizacji widowisk. Po bilety na pewne filmy widz nie musi stać w kolejce; przynosi mu je kierownik kina. Zdarza się jednak, że instytucje są zobowiązane do dostarczenia odpowiedniego „kontyngentu” widzów. Drugą skrajnością jest fundowanie, najczęściej z kas związkowych, biletów wyłącznie na kryminały i ekliwne melodramaty — westerny. Na „Przemiennie z wiatrem” organizowano wprost pielgrzymki. A dziesiątki wartościowych filmów przemijają bez echa, bo organizowanie widowisk jest czynnością sezonową. Warto może pomyśleć o zakładowych kołach, czy też klubach miłośników filmu.

Coraz więcej widzów uczęszcza tylko na wybrane filmy; kryteria wyboru są jednak różne. Kształtowanie upodobań, wyrabianie smaku artystycznego jest jednym z ważniejszych elementów upowszechnienia kultury masowej.

ZDZISŁAW KOZIOL



Polonina Caryńska

Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI

LEKCJE się skończyły i Henryk był teraz w klasie sam. Pomyślał: „powiniennem pójść do domu”, ale zamiast do drzwi zbliżył się do okna. Ujrzał błyszczące w słońcu szyny i niewielki budynek stacji. Dwa razy dziennie zatrzymywał się tam prawie pusty pociąg, jak gdyby przyjechał do Miastka przez pomysłkę.

Torem tym po raz pierwszy jechał Henryk piętnaście lat temu, razem z Anną i świeżo wypisanym dyplomem ukończenia polonistyki. Wówczas Miastko miało być tylko pewnym etapem ich planów, punktem na drodze do któregoś z większych miast. Z czasem jednak stało się „jego” i „ich” Miastkiem, a gwizd pociągów przestał budzić tęsknotę za wielkim miastem, stał się elementem codzienności.

Ale od trzech miesięcy Henryk znowu słuchał w napięciu głosów oddalającego się pociągu. Wiedział, że za kilka godzin pociąg ten znajdzie się w W., i może Kitt, podobnie, jak niedawno on słuchał będzie stukotu jego kół... „Kitt” — ten przydomek przeczytał po raz pierwszy pięć miesięcy temu. Tak właśnie podpisany był pierwszy list Danki, i tak też zaczął ją w myśli nazywać. Bo właśnie pięć miesięcy temu przyszedł do niego Oki, jego były uczeń, i poprosił go o napisanie listu do niej. Henryk nie od razu zrozumiał wówczas o co chodził, kiedy Oki podał mu wycięty z gazety adres i zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Uwagę jego zaabsorbowała wówczas nazwa miasta i ulicy, przy której mieszkała, tej samej ulicy, na której podczas okupacji omal nie zginął od niemieckiej kuli.

— „Bo pan profesor przecież wie, jak trudno ludzi napisać, i właśnie chciałem prosić...”, bo ta dziewczyna... ona mi się bardzo podoba, a chce korespondować na tematy współczesnej literatury...”. „Literatury” — powtórzył wówczas, przed oczyma nadal miał jeszcze wyrwany z pamięci obraz tamtej ulicy, Niemca stającego się do przodu, jego krzyk, ale już myśla, gdyż nagle zrozumiał o co Okiemu chodził, przeskoczył do teraźniejszości. — „Wciąż chcesz, abym w twoim imieniu napisał do tej dziewczyny miłosny list, tak?”

Henryk przypomniał sobie, że w domu czeka na niego Anna z obiadem, odwrócił się od okna i ruszył ku drzwiom. Wyludnione uliczki Miastka wypełnione były parnym, nieruchomym powietrzem. Nagle do uszu jego dotarł gwizd odjeżdżającego pociągu i czujną gwałtowny ucisk w piersiach, pomyślał: „już dziś nie zdązę, odjeżdża”. Uświadomił sobie, że właściwie przez cały ten czas w locum czekał na wibrację jeszcze w powietrzu gwizd lokomotywy.

Minał kiosk i wszedł na kocię łby rynku. Dom, w którym mieszkał, stał w jego rogu, i kiedy przed piętnastu laty wszedł doń po raz pierwszy, pomyślał, że będzie miał z jego okien dobre pole ostrzału, ale zaraz potem uświadomił sobie, że przecież wojna już się skończyła i powiedział do Anny: „musimy we wszystkich oknach postawić doniczki z kwiatami, choć widzieć kwiaty na tle szyb, kiedy się nagle obudzę w nocy”, a ona odparła: „nie wiedziałam, że tak bardzo lubisz kwiaty”, wówczas raz jeszcze otworzył usta, ażeby jej powiedzieć o parapetach okien, które były programi prowadzącymi w noc, podpórka karabinów, rak podczas rzutu granatem, ale uświadomił sobie, że ona i tak go nie rozumie, tak jak nigdy nie rozumiała go tak, jak tego pragnął, i nie powiedział nic.

Teraz, ażeby wiedzieć, co znajduje się w tych oknach, nie musiał już w nie patrzeć, znał je na pamięć. Ujrzał Annę, gdy tylko otworzył drzwi do przedpokoju, stała w progu kuchni, lewy policzek miała uwalany sadzą.

— Był Oki — powiedziała — czekał na ciebie chyba z godzinę.

— Czy... zostawił coś dla mnie?

— Nie. Mówił, że przyjdzie później.

Wszedł do łazienki i zanurzył w wodzie ręce, przesunął końcami palców po twarzy i wydało mu się, że wyczuwa pod nimi dzięsiały zmarszczek i zalaną skórę. Pomyślał: „Stary jestem już” i nagle uświadomił sobie, że bez najmniejszego dla siebie pożytku roztrwonil niemal wszystkie swoje dni.

Usiadł przy stole i bez pasji włączył się w ową mechaniczną czynność, która, gdy nie jest się głodnym, pozwala w trakcie jej wykonywania myśleć o czymś innym.

Początkowo mgliście, jak w obrazie filmowym, zarysowała się przed nim uśmiechnięta twarz z wyciętego z gazety zdjęcia, a potem cała sylwetka Kitt, taka, jaką ją sobie wyobrażał, kiedy czytał kopie jej listów, które dla siebie pokrywom sporządzał. Nie bez złośliwej satysfakcji pomyślał o skargach Okiego, który, w miarę rozwijania się korespondencji pomiędzy „nim” i Kitt, żalił się, że coraz mniej rozumie z jej listów. — „Dziewczyna jest cholernie oczytana i jeżeli chcesz się z nią spotkać w lecie, to musisz niezwłocznie zabrać się do lektury interesujących ją pozycji”, — powiedział do niego pewnego razu Henryk, po czym sięgnął po „Zaczarowaną górę” Manna i wręczył ją przerażonemu widokiem grubej książki Okiemu. — „To na początek — powiedział — trudno, nie wszystkim współczesnym dziewczętom można zaimponować łamanym szczęk”...

Usłyszał głos Anny i zorientował się, że wodzi łyżką po dnie na wpół opróżnionego talerza.

okna i sięgnął po wiszącą na tarcu krzesła marynarkę. Drzwi od jadalni były otwarte, w każdej chwili mogła ukazać się w nich Anna, ale już teraz nie miało to dla niego znaczenia.

Kiedy po chwili znalazł się przed domem, ciężarówka stała nadal na dawnym miejscu. Zaczął iść ku niej środkiem rynku, przez cały czas kiedy szedł, i również kiedy stał już obok ciężarówki, odnosił wrażenie, że Anna patrzy na niego z okna, ale nie obejrzał się. Po kilku minutach kierowca ukazał się na progu knajpy i Henryk pomyślał: „ma chyba tyle lat co Oki, tylko, że Oki nie mruży tak po cwaniacku oczu, jak on”, a następnie powiedział: — chcę dojechać do Krakowa.

— Polskę pan autostopem zwiedzasz?

— Zapłać.

— Właż pan.

Samochód ruszył, zatoczył łuk i wjechał na drogę. Henryk patrzył spod na wpół opuszczonych powiek na przesuwałe się domy, mignę-

chusteczką w kierunku peronu, ujrzał szereg przesuwaających się przed oknem twarzy, uśmiechniętych, ściągniętych smutkiem, odprężonych, wykrzywionych w krzyku, czuł coraz większy ciężar na ramieniu, szarpnął się niecierpliwie i ucisk ustąpił. Oparł czoło o szybę i zamknął oczy. Stał tak, aż owładnął nim rytm szczerzących kół, i zaczął sobie wyobrażać, że znajduje się wewnątrz jakiejś maszyny, która opłatuje ciało niewidzialną nicią, granice świata rzeczywistego i urojonego zaczęły się coraz bardziej zacierać i pojały, że ogarnia go sen. Przetarł oczy i trwał w półodrośnięciu dopóki nie ujrzał dużych czarnych liter, które ułożyły się w nazwę stacji, do której zdążył.

Otworzył drzwi i znalazł się na mrocznym, krytym blachą peronie, przeszedł przez tunel i ujrzał kolorowe domy i wystawy sklepów, które niczym nie przypominały tamtych sprzed lat. Idący ludzie zatrzymywali na nim wzrok z taką samą uwagą, jak na drzewach czy betonowej chodniku, wiedział, że nie znajdzie wśród nich nikogo z dawnych znajomych. Przyspieszył kroku, podświadomie szukał czegoś, co znał kiedyś, może jakiegoś kawałka wyszczerbionego muru, ławki na skwerze, na której śladywał, a która teraz pomogłaby mu odnaleźć się w tym mieście.

Wzrok jego zatrzymał się na rogu mijanej przecznicy i poczuł jak nagłe wzruszenie tamuje mu oddech. To było właśnie miejsce, z którego przed osiemnastu laty oddał z maszynowego pistoletu serię w gestapowca. Przeniósł wzrok na bruk najwidoczniej nie poprawiony jeszcze od tamtego czasu, ciągle jeszcze lekko wybruszony w punkcie, w którym upadł wówczas zastrzelony przez niego Niemiec, zszedł z chodnika i wpatrując się w kamienie jezdni, jakby się spodziewał, że znajdzie na nich również ślady krwi Niemca, zaczął iść powoli przed siebie. Uszy miał pełne ciszy, jaka zapanała nagle po oddanej wówczas serii strzałów, nie słyszał zgrzytu hamulców „Warszawy”. Z transu wyrwał go dopiero wrzask, rozszczęconego kierowcy, który wyskoczył z zahamowanego w ostatniej chwili tuż przed Henrykiem samochodu. Speszony zawrócił szybko na chodnik i ponownie, jak przed chwilą, kiedy ujrzał róg pamiętnej dla siebie ulicy, doznał uczucia wzruszenia. Były to te same drzwi, w których wówczas po raz pierwszy ujrzał Annę. Pamiętał jak Anna widząc, że namyśla się, kłóredy uciekać, krzyknęła: „niech pan ucieka przez restaurację, za bufetem są drzwi wiedzące na ogrody”.

Spojrzał na sztyl byle restauracji, przeczytał: KAWIARNIA KOLOROWA i prawie nie słysząc ciągle jeszcze wyrażającego mu kierowcy, pchnął wahadłowe drzwi. Ujrzał ściany hallu, całe w barwnych geometrycznych figurach, wejście do głównej sali zawieszane było kotarą, w bocznej salce, w której kiedyś mieściły się stoliki dla lepszych gości, szatniarkę, i dopiero kiedy podszedł do niej, ażeby oddać jej płaszcz, spostrzegł wiszący w kącie automat telefoniczny i zawieszoną na łańcuchu telefoniczną książkę. Natychmiast niemal, gdy tylko wykręcił znaleziony numer, usłyszał czyjeś „halo”, a następnie swój głos:

— Czy mogę prosić do telefonu panią Danusię.

— Jestem przy aparacie.

— Kitt?

— Tak, a kto mówi? Halo, słyszy mnie pan?

— Tak... tu... Oki.

— Oki? Ależ to świetnie! Myślałam, że przyjedziesz dopiero w niedzielę.

— Wciąż dzisiaj nie możesz?...

— Ależ mogę, mogę... gdzie jesteś?

— W Kolorowej.

(Ciąg dalszy ze str. 2)

JACUSZ RZESZOWIAK typowy przedstawiciel współczesnej młodzieży szkolnej; tylko potężna dyscyplina może uchronić go przed modną dziś parafrazą piosenki: „Ja mam 20 lat, ty masz 20 lat, przed nami... siódma klasa”. Jacusi! Tata już dźwierz dyscyplinę!

KIEROWNICTWU Wojewódzkiego Domu Kultury niech się spełnia marzenia o opuszczeniu gmachu przez męczących współużytkowników. Zda się, że pracownikom WDK już nie są potrzebne różowe okulary. Od chwili ukończenia rejonu atmosfera placówki różowi się kolorytem ścian.

LIPA — drzewo bujnie pleniące się pod naszą szerością geograficzną. Rodzaj ten absolutnie nie nadaje się do działalności kulturalnej. Nie po-

— Dobrze, będę tam za jakieś dziesięć minut... ale — zaniepokoiła się — jak ja cię poznam?

— Gdy wejdiesz wstane, znam cię przecież ze zdjęcia.

— Ach z tego w gazecie, to stare zdjęcie, a poza tym zmieniłam fryzurę... ale wiesz co, podnieś się, gdy do kawiarni wejdzie zielona dziewczyna.

— Nie rozumiem.

— Bo ja jestem po prostu zielona — zaśmiała się — no, pa.

Henryk powieścił słuchawkę i odetchnął z ulgą. Napotkał wzrok szatniarki i wydało mu się, że jej małe, bazyliżkowate oczy mrużą się drwiąco, odwrócił się od niej i gwałtownym ruchem odgarnął odgradzającą go od głównej sali kotarę. Otoczył go półmrok, machinalnie poszukał wzrokiem drzwi, którymi, stosując się do rady Anny, dostał się wówczas do ogrodów, znalazł je na końcu oświetlonych jasno pólek, automatycznie zrobił krok ku nim, jakby zamierzał, tak jak wtedy, przeskoczyć przez odgradzającą go od drzwi, łaniącą (teraz nikłym, wówczas piwnym i wodką) ladę, ale usłyszał głos kelnerki: „tam pod ścianą jest wolny stolik” i ruszył posłusznie we wskazanym kierunku. Usiadł plecami do ściany, która, jak tamte w hallu, pokryta była geometrycznymi figurami i zażądał alkoholu. Postawiono przed nim trzy kieliszki wypełnione cieczą mdłą i kleistą, skrzywił się ze wstrętem, ale wypił ich zawartość, poczuł jak likier stacza się ciepłą kulą na dno pustego szklaka, jak ciało jego powoli przenika paraliżujące ruchy ciepła.

Pomyślał: „Kiedy już tu będzie naprzeciw mnie, to jej powiem — szukałem cię długo i wszędzie, wśród przechodniów miast, wśród pasażerów pociągów, autobusów, wszędzie, i oto jesteś, i będziesz już odtąd ze mną, a ja będę pracował dla nas obojga, bardzo ciężko, jeżeli tak trzeba będzie, i największą moją przyjemnością będzie świadomość, że jestem ci potrzebny, i właśnie to będzie prawdziwe życie, bo dotad...”

Ujrzał stojącą obok kotary Kitt, jej zielone spodnie i wiatrówkę, i czarne włosy, których kosmyk przekreślał czoło, pomyślał: „zielona dziewczyna”, i: „trzeba wstać i dać jej znak, że tu jestem”, ujrzał jak zaczyna iść, i jak bardzo powoli idzie wzdłuż kontuaru, czuł wielką suchotę w ustach i dwie laskoczące skórę nitki potu wypływające spod pach, ujrzał, że Kitt zawraca. Napotkał jej wzrok, trwało to nie dłużej niż trzy sekundy, pomyślał: „jakie duże, smutne oczy”, a potem: „odchodzi”, zerwał się z krzesła i niemal biegiem ruszył w kierunku falującej jeszcze kotary. Ale w hallu już jej nie było. Powoli, patrząc prosto przed siebie, przeszedł obok szatniarki i szarpnął klamkę wyjściowych drzwi.

Bez trudu odnalazł wśród przechodniów zielone ubranie Kitt, jej czarne, sięgające do połowy karku włosy, pomyślał: „jesteś wysoka, prawie tak wysoka jak Oki”, zaczął iść i szedł tak tuż za nią przez całą długość ulicy. Na skrzyżowaniu zapłonek czerwone światło, stanął obok niej, pomyślał: „jesteś ładna, taka, jaką sobie ciebie wyobrażałem”, czerwone światło zgasko, zapaliło się pomarańczowe, potem zielone. Usłyszał swój głos:

— Przepraszam panią, czy tą ulicą dojdę do dworca?

— Tak — powiedziała, odwróciła głowę w jego stronę — proszę iść prosto, zupełnie prosto, aż do końca.

Pomyślał: „głos masz również taki, jaki chciałem, ażebyś miała”.

Wersja skrócona opowiadania, które wyjęte zostało ze zbioru mającego ukazać się w 1955 roku nakładem Wydawnictwa „Iskry” pod tytułem „UPAL”.

siada go więc również Dziadek Mróz w swym noworocznym worku.

LANCUT — słynący z zamku — muzeum, które rozszerzyło ostatnio swą ekspozycję o stylowe wnętrza II piętra i zimowy ogród, przekształca się coraz poważniej w ośrodek polskiej kameralistyki.

Dla Łancuta więc miniaturową hatkę jako symbol władzy muzycznej.

MECENASI KULTURY! Raczem dostojni przyjaciele, we wspólnym działaniu są wszystkie kulturalne cele! Prezent: złote wydanie instrukcji o koordynacji działalności k.o.

NAGRODY dla instytucji, towarzystw i działaczy kulturalnych. Kto je otrzyma — na razie tajemnica. Klucz do

(Dokończenie na str. 4)

„RODZYNKI Z MIGDAŁAMI”

Smakosze i znawcy poezji ludowej znajdują w tym zbiorze coś więcej aniżeli jeszcze jeden kształt twórczości anonimowej lub takiej, która wyszła spod pióra autentycznych poetów i stała się własnością powszechną, a więc ludową. Tłumacz zebranych w tomie pieśni żydowskich, Jerzy Ficowski, polski poeta, liryczny, pisarz o wybitnym smaku, w słowie od tłumacza określił swój stosunek do wyboru wydawnego właśnie bardzo starannie przez „Ossolineum”: „Wybrałem pieśni miłosne, pieśni-skargi, obyczajowe, rodzinne, żartobliwe — pieśni żywego, choć cierpiącego ludu. Nie włączyłem pieśni ludu giniącego”. A więc tylko szczątkowe echo utracone w przekładzie przez poetę i wydawcę? Echo czy trwały pomnik ludu wytrzebionego i wyćiętego w pień?

Jest w tym tomie pełny niemal obraz tego ludu, ukazany w pieśni wypełnionej smutkiem, gorczyzą, żalem, zjadliwą kpinką z siebie i otaczającego świata, radością i rozpaczą, nadzieją i wiarą, zarówno tą mistyczną i mitotwórczą, jak i nadzieją, która się rodziła w czasach nowszych, gdy ruchy społeczne, wyzwoleńcze, socjalistyczne utargnęły do getta dobrowolnego i przymusowego, do cuchnących zaułków małych miasteczek i ciemnych ulic wielkich metropolii. Przejmowanie przez rzesze pieśni pisanej przez

autentycznych poetów świadczy jedynie o spójni istniejącej między tą rzeszą, a jej duchowymi przywódcami.

Pieśń ludowa żydowska była niezmiernie różnorodna, lata wielkich ruchów migracyjnych bardzo ją wzbogaciły, powstanie ruchu socjalistycznego wniosło ponownie inne treści — buntu, solidarności. Ten tom pieśni ludowej Żydów polskich w przekładzie na język polski, to coś więcej aniżeli wydobycie literackie. Znalazły w pieśniach tych pełny swój wyraz rozczarowania i klęski doznane, nie — jak pisze współczesny poeta Polski — „W Hrubieszowach, Karczewie, Brodach, Faleniczy”, tylko w emigracyjnym losie opisanym w bruku Nowego Jorku, Brooklynu, Londynu i Paryża. W tych pieśniach pozostały nuty znacznie głębsze — rozczarowanie, brak nadziei, głębokie przeświadczenie, że człowiekowi biednemu wszędzie jednako źle. Ale ze źródła tych tęsknot i marzeń wyrastały też, bardzo często, nieudolne imitacje, kaleki twórcy w rodzaju „Rebek” i „Miasteczka Bełż”, usiłujące naśladować ludową pieśń, w której na pewno znaleźć można infiltrację polskiej pieśni ludowej. Inaczej być nie mogło, a chciałoby się uzupełnić: inaczej być nie powinno. Były to pieśni ludu, który od setek lat żył na tej samej ziemi, wspólnie z ludem tworzącym pieśni opoczyńskie, kurpiowskie, białostockie.

Znakty reszki ostatnie,
żydowskie łachmany,
Krew płaskim przysypało,
ślady uprzętnięto...

Ale ten ślad zostanie w sposób trwały.

STANISŁAW WYGODZKI

Antologia Poezji Ludowej Żydów Polskich. Rodzinki z migdałami. Ossolineum. Przekłady Jerzego Ficowskiego. Wstęp Salomona Łaskika. Opracowanie graficzne Wanda Ficowska. Str. 188.

Książka i film polski w Dżakarcie

Ambasador PRL w Indonezji — Leonard Pohoryles dokonał na Uniwersytecie Indonezji w Dżakarcie otwarcia wystawy polskich książek, fotografii oraz znaczków pocztowych. Podczas uroczystości amb. Pohoryles przekazał dla Uniwersytetu zestaw książek, stanowiących dar marszałka Sejmu PRL — Czesława Wycecha.

Równocześnie pokazem filmu „Pasażerka” Andrzeja Munka zainaugurowano festiwal filmów polskich w teatrze studentek Uniwersytetu Indonezji.

Dobrze dotarty samochód sam zwalnia koło kawiarni w Brzozowie — żartują kierowcy. Przed dalszą podróżą w Bieszczady trzeba się przecież rozgrzać gorącą herbatą lub kawą. I najczęściej na tej przypadkowej „półgodzinie” spędzonej przy kawie zaczyna się i kończy nasza znajomość, jak to turyści nazywają z przedśmiałkiem Bieszczadów.

Niektórzy zatrzymują się jeszcze na chwilę przed mapą turystyczną i... dalej, dalej do Sanoka, Leska, Ustrzyk. Mapa choć duża, zbyt skąpo informuje o walorach turystycznych, obiektach zabytkowych, na pewno za mało, aby zachęcić turystów do wędrówki po sześć wieków liczącym Brzozowie, Dynowie i okolicach.

Ostatnio nadarzyła się okazja pogłębienia wiadomości o powiecie brzozowskim. Wpadła mi w ręce wydana jeszcze w roku 1959, w związku z obchodzoną wówczas 600-leciem istnienia miasta, książka (praca zbiorowa) pt. „Sześć wieków Brzozowa”.

Odwiedziłem kilku jej współautorów, rozmawiałem z nimi. Podbudowany nieco w historyczne i najświeższe wiadomości ruszyłem w teren. Nie każdy ma jednak dość czasu na takie przygotowanie się do podróży. O wiele wygodniej byłoby przejrzeć np. krótki, informacyjny o najważniejszych rzeczach przewodnik turystyczny... Właśnie, podobno magazyn Wydawnictwa „Sport i Turystyka” opuści niebawem pierwsza część przewodników po powiecie brzozowskim.

— Nie cieszmy się jednak przed czasem — mówi autor tej wiadomości — Maciej Skowroński — (dyrektor UL we Włodowie). Miałem już okazję czytać ten przewodnik. Wątpię, aby spełnił jakąś poważniejszą rolę. Jest niedopracowany; trasy turystyczne wytyczono raczej przypadkowo, brak także wielu podstawowych informacji turystycznych. Dlaczego? W opracowaniu przewodnika nie uczestniczyli, ba, nawet nie wiedzieli o tym, ludzie, którzy od wielu lat przemierzają wzdłuż i wszerz Brzozowszczyznę, penetrując dostępne im archiwa, opiekując się zabytkami.

Jednym z nich jest Józef Rogowski (*), rzemieślnik (piekarnik), a zarazem historyk amator. Gromadzi, bada i opisuje dowody materialnej i duchowej kultury Brzozowa i oko-

lic ze szczególnym uwzględnieniem historii brzozowskiego rzemiosła. Jeszcze z górą przed dziesięć laty zebrał, dzięki oczywiście pomocy kilku innych tak pożytecznych hobbystów, kilkadziesiąt eksponatów, które stały się wówczas zaczątkiem regionalnego Muzeum w Brzozowie.

Krótki był jednak żywot Muzeum, niewspółmiernie krótki do wysiłku włożonego przez organizatorów. Ekspozaty przekazano do muzeów:

okręgowego w Rzeszowie oraz sanockiego i krośnieńskiego. Teraz znów, po latach, odżyła myśl — zorganizowania muzeum. Zbiegło się akurat ze znacznym ożywieniem kulturalnym w tym powiecie. Kilkunastu działaczy — społeczników postanowiło założyć brzozowskie towarzystwo kultury. Sprawa jest już dość zaawansowana; opracowano statut, który po wprowadzeniu niewielkich poprawek będzie prawdopodobnie w tych dniach zatwierdzony. Celem i zadaniem towarzystwa — czytamy w projekcie statutu — jest rozwój działalności kulturalno-oświatowej, upowszechnianie kultury i sztuki oraz opieka nad zabytkami przyrody i kultury.

Namacalnym tego dowodem byłoby niewątpliwie muzeum. Są nadzieje i to niezbyt już odległe, na uzyskanie na ten cel zabytkowej XVII-wiecznej kamienicy. Mieści się w niej obecnie m. in. Wydział Rolnictwa Prez. PRN, który przeniesiony będzie wkrótce do nowego biurowca. Znajdą się w nim także pomieszczenia dla innych wydziałów. Przy dobrej woli władz powiatowych być może dałoby się przekazać kulturze cały wspomniany zabytkowy budynek. Wówczas można by urządzić nie tylko stałą ekspozycję muzealną, lecz także małe dotychczas znane w Brzozowie wystawy plastyczne, nie mówiąc już o możliwościach zorganizowania klubu (brzozowskiego towarzystwa kul-

turalnego), stałych odczytów, pokazów filmowych, dyskusji itp.

Tak jak tancerze z Glinika czy też „Rzeszowiacy” rozstawiają Strzyżów i Mielec, tak kiedyś głosno było o Brzozowie dzięki zespołowi pieśni i tańca ze Starej Wsi i męskiemu chórowi „Lutnia” z Brzozowa. Niestety, o obu tych zespołach możemy dziś już tylko sobie przypominać... „Stara Wieś” rozpadła się przed dwoma laty, „Lutnia” przed trzema. Dlaczego?

— Brak „podsiewu”, zainteresowania się zespołami przez młodzież było tego powodem. Oba zespoły zeszły się. Pamiętam — mówi J. Rogowski — często nagrywano „Lutnię” do radia. Dla starszych była to nie lada atrakcja, kiedy po próbie mogli posłuchać swojego śpiewu w wozie transmisyjnym. Młodych przy tym prawie nigdy nie było. Odszli swoimi drogami.

Szkoda. Wielka szkoda. Czy nie warto by zespołów tych reaktywować? Niestety, głucho na ten temat. Czas już najwyższy wyruszyć za Brzozów. Zaproponowano Haczów. Zgoda. Autor ludowego wesela — Stanisław Wysocki — przyjął nas mimo choroby, i gdy zaczęliśmy mówić o weselu ożywił się, wstał z łóżka, przyniósł kronikę zespołu, zdjęcia, wycinki z pras. Zaczęliśmy oczywiście od najmłodszego obecnie — z racji nowego kodeksu cywilnego — tematu.

— Chłopiec zaczynał myśleć dawniej o żeniaczce, gdy miał 27—28 lat i to myślał za niego ojciec. Ja ci tu upatrzyłem żonę... rozmawiałem z ojcem Kołodziejowej Marysi, zgodził się — mówił pewnego dnia do syna. Wesela były huczniejsze niż dziś, a właściwie głośniejsze i dłuższe, trwały nieraz 4—5 dni. Byłem na dwóch takich weselach: u wujka — Jana Rzepkiego i sasiada — Włocława Waszkowicza... W weselu haczowskim tańczą jeszcze i śpiewają prawie że najstarsi mieszkań-

cy naszej wsi: Anna Boczar, Maria Matusz i Tadeusz Wojnowski. Pamiętają stare przysłówki, zwyczaj. Do końca XIX wieku np. zamiat obłąkacz, używano wianków. Po uczcie weselnej zasywano je do pierzyny. Miały przynosić szczęście i miłość. Moi rodzice również brali ślub „na wianek”.

— Czy zespół „weselny” znajduje się w „gotowości bojowej?”

— O tak, zawsze. Warto by go jednak trochę odmłodzić.

— Koniecznie, bo zestarzeje się i rozleci tak, jak „Stara Wieś” i „Lutnia”.

Mają brzozowianie i drugie wesela, wprowadzie od haczowskiego mniej jeszcze znane, wystawiane było na scenie dopiero dwa razy, lecz równie barwne, żywe i wesole. Jest to wesela grabownickie. Spisała je i uratowała przed zapomnieniem żona kierownika Wydziału Kultury w Brzozowie — Zofia Olejko. Z zawodu inżynier-miedziarz, rozpoczęła pracę ot tak, tytułem próby, oczekując na coś lepszego, w szkole podstawowej w Grabownicy i... odkryła swe prawdziwe zamiłowanie. W zbieraniu starych pieśni pomogli jej uczniowie.

Grudniowa niedziela dobiegała końca. Była bardzo bogata nie tylko we wrażenia z racji wielu spotkań i rozmów, lecz przede wszystkim bardzo obiecująca. Ożywienie, wzrost zainteresowania się kulturą, zaangażowanie się w te sprawy społeczników organizujących towarzystwo kulturalne pozwala rokować chyba dobre nadzieje, tym bardziej że powiat brzozowski jest wdzięcznym terenem do działania z racji posiadania wielu zabytków mało jeszcze znanych, licznych pomników dawnej kultury, miejsc historycznych. Każda inicjatywa i pomoc da tu więc widoczne wyniki.

RYSZARD BILSKI

(*) Z posiadanych przez siebie dokumentów, zdjęć i innych eksponatów, ma zamiar urządzić w najbliższym czasie wystawę w sali Cechu Rzemiosł Różnych w Brzozowie. Ważno dodać, że istnieje także możliwość odzyskania dla nowego muzeum niektórych eksponatów przekazanych w okresie likwidacji pierwszego muzeum brzozowskiego.



LESZEK ZIEMIŃSKI prezes Woj. Spółdz. Pracy Kominiarzy w Rzeszowie

w noworocznej karykaturze

J. SIENKIEWICZA

WIDNOKRĄG odpowiada

OB. A. B. RZESZÓW — Opowiadanie nie nadaje się do druku. Jest zbyt naiwne i nieporadne. Wydaje nam się, że aby próbować sił w prozie trzeba mieć dużo wiedzy o świecie i doświadczenia życiowego. Proza wymaga dojrzałości. A Pani, jak się orientujemy, nie wyszła jeszcze z ławy szkolnej.

OB. A. K. RZESZÓW: Na publikowanie wierszy trzeba jeszcze dość długo poczekać. Utwory formalne i nieporadne i zbyt amorficzne. Brak im wyraźnej konstrukcji i świadomości co się chce powiedzieć.

OB. MARIA P.: Wiersz „nieszkodliwy”, dość kulturalny, ale zbyt szkolny. Ta impresja pisana chyba rzeczywiście na „ostatniej lekcji” nie zasługuje na druk. Może jednak warto próbować pisać.

OB. OB. W. ZENON — RZESZÓW — „EAR” — NISKO — „KLI” — NOWA DĘBA. Nie skorzystamy.

DOKOŃCZENIE 3

jej rozszyfrowania: całoroczna praca!

ORKIESTRA Symfoniczna nie może w pełni rozwinąć swych artystycznych skrzydeł w Rzeszowie, bo musi uważać, aby nie stracić równowagi, siedząc na mansardowych wyżynach WDK. Zejdźcie na ziemię, do własnego gmachu ułatwi jej szerokie loty. Powodzenia!

PANSTWOWY Teatr im. Wandy Siemaszkowej jest seniosem rzeszowskich placówek kulturalnych. Jako pierwszy do samego Prezesa Sokorskiego z prośbą o otwarcie rzeszowskiej TV jeszcze przed wprowadzeniem telewizji kolorowej; drugi zaś do XI Muzy — by nie omijała grodu nad Wisłokiem — szczególnie w okresie trwania konkursów na lektorów i speakerów.

REGIONEJ rozgłosił rzeszowskiej Polskiego Radia Dziadek przekazuje dwa listy polecające: Pierwszy do samego Prezesa Sokorskiego z prośbą o otwarcie rzeszowskiej TV jeszcze przed wprowadzeniem telewizji kolorowej; drugi zaś do XI Muzy — by nie omijała grodu nad Wisłokiem — szczególnie w okresie trwania konkursów na lektorów i speakerów.

RZESZÓW staje się ośrodkiem akademickim. Dziadek Mróz czuje się zwolniony z obowiązku złożenia pod choinką prezentów w postaci nowych gmachów, domów akademickich, mieszkań dla szczupłego jeszcze grona pracowników naukowych; władze wojewódzkie jak dotąd, są w pełni samowystarczalne, chociaż pomoc ze szczebla wyższego użyłaby im w tej pionierskiej pracy. Jest natomiast gościniec dla rzeszowskich żaków — program działalności kulturalnej w środowisku. Skoro Rzeszów staje się ośrodkiem akademickim, Dziadek Mróz radzi utworzyć wreszcie bibliotekę naukową, której projekt znajdzie (kto?) pod naszą choinką.

SYNAGOGA — po długiej rekonstrukcji stanie się wkrótce siedzibą rzeszowskich plastyków. Przydział na obiedzie jej w posiadanie — to najbogatszy prezent dla kulturalnego Rzeszowa.

SZKOLNICTWO otrzymuje wyjątkowo dużo prezentów, a przede wszystkim zreformowane programy i plany nauczania. Szkoły w Rzeszowie, przede wszystkim podstawowe i średnia muzyczna — nowe budynki wznoszone, krócej aniżeli 5 (pięć) lat, o co świadczy patron działy usilnie prosi DBOR i Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego. Nauczycielom zaś, zamiast tradycyjnej „Syzyfowej pracy” lub „Orki na ugorze” — jeszcze nie napisane „Żywyte herculesów i tytanów” oraz względów w kwadrantach.

USMIECH na co dzień — pełnie poszukiwany — oto hasło roku 1965, chociaż podobno miniony rok przebiegał pod znakiem uprzejmości. Jak piękne będzie życie, gdy uprzejmość z uśmiechem, szczególnie personelu rozlicznych placówek użyteczności publicznej, instytucji i urzędów — wyjdą nam naprzeciw. Wypadnie tylko odważnie się pięknym za nadobne.

WIDNOKRĄG — jedyny tygodnik kulturalny Rzeszowa cieszy się z szeregiem kontaktów z czytelnikami i obficie korespondencją. Zwykle wśród niej brak jednak tych oczekiwanych listów, które przyniosłyby odzew na propozycje zespołu lub krytykę.

Pod choinką może więc znajdziemy odpowiedzi na wszystkie poruszone przez nas tematy w minionym roku.

Tego sobie i Wam życzy

„Widnokrąg”

„Zezowate szczęście” we francuskiej TV

Francuska telewizja nadada w drugim programie, po raz pierwszy zarówno na dużym, jak i małym ekranie, film Andrzeja Munka „Zezowate szczęście”. Audycję poprzedziły niezwykle wysokie oceny całości dzieła Munka oraz osiągnięć polskiej kinematografii. Dziennik „Aurore” pisał np. o polskiej szkole filmowej, „dynamicznej i śmiałej, bogatej w talenty”. Przypomina czytelnikom nazwiska polskich twórców, poświęcając najwięcej miejsca Munkowi, jego „Eroice”, „Człowiekowi na torze” oraz „Pasażerka”, która „powitana została przez całą prasę zachodnią jako arcydzieło, chociaż autor nie zdążył go dokończyć”.